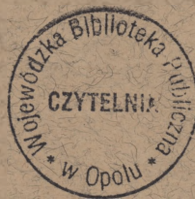


Cena egz. 50 gr.



Kolekcja
Emila Kornasia



ROK II - NUMER 3 (5).
MARZEC 1939 ROK.

M I E S I Ę C Z N I K
LITERACKO-ARTYSTYCZNY

W NUMERZE PISZĄ:

Hierowski Zdzisław
Kołaczkowski Stefan
Kubisz Paweł
Łysohorsky Ondra
Obrzud Stanisław
Pietrzak Włodzimierz
Seifert Jarosław (il. Maria Szurek Wisti)
Wypler Jan

ANKIETA: Grodzicki A. - Lutman R. - Mayer J. -
Rybicki P. - Smotrycki J. - Ks. Szramek E. -
Wrzosek A.

FANTAZJA

FANTANA

MIESIĘCZNIK LITERACKO - ARTYSTYCZNY

ROK II.

KATOWICE, MARZEC 1939 r.

NR 3 (5).

Stefan Kołaczkowski

Jędrzej Piszczalski Dygasińskiego na mapie prądów literackich

Pojawienie się dzieł Dygasińskiego w nowym zbiorowym wydaniu pobudza historyka literatury do rozrachunków z przeszłością, do poprawiania swych map i wykresów. Bo przeżywaniu dzieł sztuki musi towarzyszyć uświadamianie ich znaczenia w dorobku kulturalnym. Pełne życie współczesnością objawiać się musi także rewizją zasobów przeszłości, z której czerpiemy. Choć zasadnicze prawdy pozostają niezmiennie, okoliczności historyczne i rodzące się z nich potrzeby i pragnienia nakazują nam silniej akcentować raz te raz inne wartości a przesunięcia ich w hierarchii odbijają się na całym systemie naszych ocen i kryteriów. I w tym nowym oświeceniu i w nowym układzie perspektywicznym zmieniać się musi przeszłość, jeśli ma być dla nas żywą.

Warto więc z okazji nowego wydania „Jędrzeja Piszczalskiego” Dygasińskiego pomówić o stosunku naszych postępowych i demokratycznych pisarzy z drugiej połowy XIX wieku do szlachty i ziemiaństwa.

Napozór zjawisko takie jak „Jędrzej Piszczalski” nasuwa pewne sprzeczności: autor *niewątpliwie* odmalował postać głównego bohatera z sympatią; skądinąd zaś wiemy, że z natury panujących prądów, którym hołdował Dygasiński jak w ogóle t.zw. naturaliści i pozytywiści, należałoby wnioskować o całkiem innej ocenie szlachty i wiemy też z pewnością, że ta ocena wypadła bardzo surowo. Czyżby to była po prostu niekonsekwencja Dygasińskiego?

Nie, to tylko nasze zbyt schematyczne i zbyt uproszczone wyobrażenia o „epoce pozytywizmu” prowadzą nas do dialektycznych sprzeczności. W rzeczywistości sprzeczności nie ma żadnej. Rozgłos pewnych imion jak Prusa i Świętochowskiego, związanych ściśle przez swe tematy z życiem mieszczańskim, skłoniły nas do powzięcia pewnych *jednostronnych* wyobrażeń o tej epoce. Powtórze zapominamy, że *program* to jeszcze nie życie i nie rzeczywistość. Postulaty dążeń mówią zazwyczaj

nam i całym generacjom, z czego chcemy wyjść — ale nie zawsze mówią, czym jesteśmy. N. p. program pozytywistów nie przewidywał Trylogii Sienkiewicza, nie mówił, że w podświadomości zbiorowej kryje się materiał na entuzjazm dla tego dzieła.



Po trzecie wreszcie brak zbiorów malarzy polskich z okresu naturalizmu, więc Chelmońskiego, Brandta, St. Witkiewicza i innych sprawia, że w naszych wyobrażeniach fałszujemy przeszłość kulturalną tej epoki. Po prostu nie znamy naszego malarstwa z pewnych jego okresów i nie zdajemy sobie sprawy, ile żywiołowego rozmachu, ile wyczucia i sympatii dla życia wiejskiego i przeszłości szlacheckiej w nim było.

Jako dokument każdemu dostępny posłużyć może *con amore* pisana monografia Stanisława Witkiewicza o Juliuszu Kossaku: tyle w niej wnikliwego odczucia życia szlacheckiego, jego żywiołowości, fantazji, bujności. Ale przede wszystkim malarzy naturalistów pociągało w tej przeszłości

szlacheckiej współzycie z przyrodą, naturalność, swoboda niczym nie skrępowana. Ktoś żartem powiedział kiedyś, że Witkiewicz w monografii o Kossaku dał cały „wykład metafizyki konia“ — żart ten zawiera sporą dozę prawdy. Trylogia Sienkiewicza nie jest żadnym wyłamaniem się z ram swej epoki: całkiem przeciwnie: w niej właśnie jest synteza tego historyzmu, którego szczytowym wyrazem był Matejko, z witalizmem naturalistycznym lat osiemdziesiątych. Jest to rzeczą całkiem zrozumiałą, że artystycznie i uczuciowo naturalizm wyraził się najpełniej w malarstwie, bo jakaż inna sztuka oddać może lepiej realistycznie przyrodę, nad malarstwo? Malarstwa tego nie znamy, bo obrazy są rozproszone po zbiorach prywatnych. A właśnie dopiero na tle tego malarstwa Dygasiński nie byłby zjawiskiem odosobnionym i nie dziwiła by nas postać pana Jędrzeja Piszczalskiego.

Zastanówmy się nieco nad dążeniami i kierunkami epoki. Po otrząśnięciu się z depresji, jaką musiał wywołać upadek powstania 63-go roku i „kryzys“ ziemiaństwa, spowodowany zmianą stosunków gospodarczych po uwłaszczeniu włościan w zaborze rosyjskim, wysuwają się na czoło trzy kierunki myśli: szkoła krakowska z jej historyzmem, w którym ścierają się i łączą krytycyzm w stosunku do przeszłości z konserwatyzmem, tradycjonalizmem — pozytywizm warszawski z jego hasłami postępu, demokracji, pracy organicznej i wreszcie, idący w parze z kultem „pozytywnych“ nauk przyrodniczych, naturalizm w sztuce. Ten naturalizm w latach osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych — który nas tu ze względu na Piszczalskiego zajmuje — odbija jednocześnie wiele tendencji nurtujących psychikę narodu. Z jednej strony, jest on szkołą twórczości i realizmu. Z drugiej — poprzez witalizm zaczyna się wyrażać wzrost sił biologicznych społeczeństwa, odprężenie po depresji, o której wspomnieliśmy na początku. Jednostronne aczkolwiek pożyteczne odżegnywanie się od przeszłości postępowców i racjonalistycznie nastawionych pozytywistów nie może na dłużej wystarczać. Doskonale to odczuł i wyraził syn tej epoki, naturalista Stanisław Witkiewicz, pisząc (w książce o Kossaku) o rytmie dziejów; o tym na przemian powtarzającym się w dziejach akcentowaniu uniwersalizmu i rodzimej tradycji. Rozróżnia on tam doskonale konserwatyzm martwoty od tego czerpania sił w tradycji, opieraniu się o nią jako o odskocznnię w chwilach dojrzewania narodu do rzucenia się z siłą w przyszłość.

Inaczej ten rozmach, czerpany z tradycji, wyglądał u Sienkiewicza (taki, nieintelektualny czy ideowy sens ma jego powiedzenie o krzepieniu sere) inaczej u malarzy naturalistów, u Witkiewicza czy Dygasińskiego.

Zważmy jeszcze jedno, że humanizm w dobie myślenia kategoriami przyrodniczymi — wyraża się zainteresowaniami (wzmocnionymi w tym czasie) antropologią, ludoznawstwem. Te zainteresowania krzewił i sam im hołdował Dygasiński. Jędrzej

Piszczalski — to właśnie ujęcie problemu szlacheckiego od strony biologicznej: rasa i żywioł.

Nie kolidowało to z postępowymi przekonaniami autora, bo właśnie postęp ówczesny nakazywał: bezstronność naukową i empiryzm oraz podsuwał przyrodnicze antropologiczne „metody“ ujęcia.

Z drugiej strony, jeśli idzie o artystyczne metody, to właśnie realizm naturalistyczny, idąc coraz dalej, precyzując coraz bardziej swój empiryzm, poprzez wnikliwość i rzeczowość wiodł ku coraz większej intymności znawstwa. Wiemy, co było kresem tych dążeń: „wviadywać się“ (termin Żeromskiego), to już program *intuicjonizmu*. Temu intuicjonizmowi w stosunku do przyrody, w stosunku do człowieka, pojętego po przyrodniczemu, antropologicznie, torował w Polsce drogę nie kto inny tylko Dygasiński: on go już nawet zwiaszczał. Intuicjonizm szedł w parze z panteizmem, zabarwionym mistyką natury i kultem życia, pojętym dynamicznie, jako żywioł, więc i kultem siły.

Ten kult siły, właściwy naturalistom późniejszego okresu, okresu neowitalizmu, wpływał na estetycznie „bezinteresowny“ podziw dla wszelkiej siły życiowej. Znamienny jest n.p. taki ustęp o Napoleonczykach w powieści Dygasińskiego: „Im wystarczało to, że były takie bitwy, w których jedni ginęli, drudzy zwyciężali. Zwycięzcy zasługują na cześć, na uwielbienie, ponieważ znakomicie pobili innych“. Z takiego właśnie biologicznie estetycznego stanowiska, jako przejaw siły witalnej, jej rozpędu i nieprzebranego bogactwa pociągał Dygasińskiego i temperament szlachecki. Jako społecznik mógł ubolewać nad tym, że siły te nie znalazły właściwego i twórczego ujścia. Jako historyk i socjolog mógł sobie wyjaśniać wiele objawów życia szlacheckiego procesem rozkładu tej klasy, nie przeszkadzało to widzieć mu piękna temperamentu jako siły życiowej, jako żywotności rasy. Natura była „poza dobrem i złem“ w tym znaczeniu bezgrzeszna i wobec niej milknąć miały kryteria ludzkiej etyki. Ale i z punktu widzenia tej etyki musiał Dygasiński w imię bezstronności uwzględnić wiele okoliczności łagodzących. Winy płynęły z tej samej pięknej nieświadomości, jaka cechuje żywioły przyrody. Ale sama ta siła szlacheckich porywów miała w sobie i szczodrość i wspaniałomyślność. Rycerskość i prawość tych natur — w tych granicach, w jakich pozwalał im zrozumieć świat ograniczony widnokrąg — nie ulegały wątpliwości. Był to żywioł nie tylko wspa-
niały, przez niewyczerpany zasób swych sił ale i przez wewnętrzną dobroć. Tylko okoliczności, zmiana ustroju, nie dając właściwego ujścia tym żywiołom, znieprawiały je lub, częściej, karykaturowały ich przejawy.

Przez usta jednego z postaci, Dygasiński wypowiada taki sąd o Piszczalskim: „Kto ma dużo rozumu, ten się za długo zastanawia nad każdą rzeczą i taki ani kochać nie może, ani też nie jest odważny. Cóż to za szlachcie... Piszczalski jest to

człowiek, na którym można polegać: dla zysku nie poświęci on nigdy godności osobistej, duma i rządzi władzą, fantazja poety i męstwo rycerza nigdy nie znalazły dla siebie lepszego siedliska. Tylko tacy mogli chodzić na wyprawy krzyżowe, oswobadzać Wiedeń od Turków, bić się pod Warną... Ten dobry, spokojny typ rycerza wobec rozwoju nauki, wynalazków jest ośmieszonym Don Kichotem. Uczony, przemysłowiec, kupiec mogą nazwać Piszczałskiego głupim, — ja twierdzę, że to jest człowiek zaginionej epoki... Szlachta dlatego ginie, czy się przerzedza, ponieważ się uczyć musi... Nie trzeba przecież gardzić ginącymi". (T. I. s. 106/7).

Jak zawsze, Dygasiński tylko kryteria stosowane z punktu widzenia przyrodniczego uważa za etycznie obiektywne. Sądy ze stanowiska społecznego czy też etyka tkwiaca immanentnie w naszym sumieniu — jak wielu naturalistom jego czasu — wydaje się nienaukową, subiektywną. W imię tej naturalistycznej etyki, przez kult natury, żywiołu i siły gloryfikuje on szlachecki temperament bez względu na jego etyczną czy społeczną wartość. Ale nadto, jak we wszystkim co jest ludzkiej natury, widzi niespaczone instynkty i „grunt dobry”. Tak to w tej powieści przejawiało się wskrzeszenie tradycjonalizmu... na gruncie naturalizmu w przeciwstawieniu do „racjonalistycznego skrzydła” pozytywizmu mieszczańskiego, który reprezentował Świętochowski. Było to pojednanie postępu z przeszłością na gruncie uczucia, wspólnoty temperamentu, rasy.

Nie były to zjawiska odosobnione. Któż by, znając obrazy Fałata, zwłaszcza scen myśliwskich, tętnące takim wyczuciem obyczajowości ziemiańskiej, wczuciem się w nastrój tego życia, mógł by się domyśleć, że Fałat pochodził z ludu? Wspólnota w odczuwaniu przyrody była silniejsza niż różnice przekonań społecznych.

Artysta nie może być ciasnym doktrynerem, bo nie tylko artyzm, ale i prawda straciłaby na tym. Poznanie intuicyjne, wtedy tylko może spełnić swe funkcje, gdy nie trzyma go na wodzy stała kontrola intelektu. I wtedy tylko sztuka w swej formie poznawczej może uprzedzać poznanie naukowe. A tylko poznanie intuicyjne jest pełne, bo obejmuje przedmiot poznania w całej konkretności

Swobodne więc oddanie się swym pociągom instynktownym przez artystę, o ile naturalne jego intuicje są trafne i wnikliwe jak u Dygasińskiego, sprzyja zawsze rozszerzeniu widnokregu i pozwala odnaleźć i wypowiedzieć nawet prawdy, o których artysta nie myślał, których nie miał na celu.

Wątpię bardzo, nie mi przynajmniej o tym nie wiadomo, by Dygasiński świadomie dążył do stworzenia w swym Piszczałskim jakiegoś typu stanowiącego kontrast z bohaterem rosyjskiego powieściopisarza Goncezarowa—Obłomowa¹). A jednak jak mi się zdaje, cel ten mimowoli osiągnął. Zestawienie tych dwóch bohaterów mówi bardzo wiele o psychice dwu narodów. O obydwu tych postaciach można powiedzieć słowami Mochnackiego, że „są uznaniem się narodu w jestestwie swoim”. Oczywiście z ograniczeniem wyraźnym, bo są to nie postacie reprezentatywne tylko dwa typy ziemian z epoki rozkładu tej warstwy społecznej. A jednak jakże wiele mówi to zestawienie. Mimo, że dzieciństwo tego bohatera (zwłaszcza w rozdziale p.t. „Sen Obłomowa”) owiał Goncezarow urokiem prawdziwej poezji, jego powieść jest kroniką bezwładu i rozkładu. W tym zestawieniu dwóch bohaterów uderzają szczególnie dwa kontrasty. Rozmach, temperament i żywotność szlachecka polskiego i apatia, bierność, lenistwo i gnuśność Obłomowa. Że Goncezarow mimo przejaskrawień utrafił w sedno prawdy, tego dowodzi fakt, że nazwisko bohatera przekształcono na termin („obłomowszczyzna” — obłomowszczyzna), którym określono już nie typ, ale pewne rozpowszechnione zjawisko społeczne, zjawisko specyficznie rosyjskie. Pomijam już tu sam fakt, że w tym zestawieniu rzuca się w oczy płynący z poczucia sił optymizm i aktywność ducha polskiego w przeciwieństwie do hołdującej etyce „niesprzeciwiania się złu”, fatalistycznej bierności ducha rosyjskiego. Godne podkreślenia jest to, że tę gloryfikację temperamentu szlacheckiego dał... jeden z najbardziej gorzkich pesymistów i najradykałniejszych demokratów. Skąd inąd autor całej galerii satyrycznych portretów szlachty i ziemianstwa. To mówi i o żywotności polskiej i o braku doktrynerstwa w psychice polskiej bardzo wiele.

¹) Istnieje tłumaczenie polskie Rawity-Gawrońskiego.

Z poezji czeskiej

Jaroslav Seifert
(ur. 1901)

M o r z e

Kiedy tęsknimy za dala
mówimy sobie:
fale morza fale morza
miłość w różowym wyznajemy liście
potem całując dziewczyn miękkie włosy
mówimy sobie:
fale włosów fale włosów.

Niedziela przedpołudniem pójda kąpać się dziewczyny
morze i włosy w jedną falę spłyną
marynarz na czatach bocianego gniazda
śpiewać zacznie inną...

Fale i fale falują, falują
i u brzegów giną.

tłum. Maria Szurek-Wisti.

Ś l ą s k

Drukujemy sonety z „Księgi Sonetów“ Stanisława Obrzuda, poświęcone Górnemu Śląskowi. W ten sposób łączymy twórczość nowego pokolenia z twórczością starszego pokolenia, przypominając zarazem naszym czytelnikom interesującego pisarza, którego większa część życia przypada na dobę Młodej Polski, a który chadzał i chodzi własnymi drogami i nie należy do żadnej kapliczki. Jego nowele p.t. „Honor Karola Pęksy“ (druk: we Lwowie w r. 1922) i jego ballady wiejskie

(druk: w „Tyg. Ilustr. Warsz.“), dają piękne i autentyczne obrazy z życia wiejskiego; jego nowela „Uczta u Alkibadesa“ i poemat „Śmierć Sokratesa“ (druk: w „Zdroju“ w r. 1918) są swoistym przejawem głębokiego przeżycia kultury klasycznej. Wysoki i oryginalny talent językowy Stanisława Obrzuda podnosił w swej recenzji w „Gazecie Warszawskiej“, Zygmunt Wasilewski. Obecnie zasłużony pisarz ukończył poemat z życia wsi p.t. „Pątnicy“ i pisze powieść współczesną

I.

...I mówił nam o Śląsku... O czarnych olbrzymach hut i fabryk, o gęstych tak jak bór kominach, o trudzie ludzkim w kopalni węglowych głębinach i o wiszących n'by czarne chmury dymach.

I o tem, jak drży ziemia, jak drżą szybów wieże niby ludzie, kiedy ich gorączka rozpali i jak tam wózki z węglem, widziane z oddali, przelatują jak wielkie, czarne nietoperze.

I że głębokie jamy, w których trupio błyska rdzawista woda, to są gluche cmentarzyska tętniących ongi pracą kopalni; że śmierć czyha na wszystko, co tam stwarza ludzka moc i pycha, że nawet ziemia, runię wabiąca cię zdradnie, skoro wstąpisz, wraz z tobą w przepaść się zapadnie.

II.

Opowiadał, jakie tam noc wytwarza cuda, gdy się trudowi ludzi gwiazdy cicho żalą a w hutach i na hałdach krwawe ognie palą, a przez dymy zagląda twarz księżycza ruda.

Jak tam maszyny cudnie dzwonią, dudnią, wałą, jak dreszcz wysiłku wstrząsa ich stalowe uda, jak wykonują sprawnie prace wielkoluda i jak tam dyszeć zda się świat ogniem i stałą.

I o ludzi nam mówił śląskim. Jaki szumny i hardy, jaki wierny, choć w wiekowym trudzie, nie mogąc nawet marzyć o ojczyźnie cudzie, musiał obcej potęgi budować kolumny!...

... A jednak przetrwał wszystko!... Nawet i te bóle, że zaparli się jego niegdyś własni króle!...

Włodzimierz Pietrzak

Dyskusja o organizacji kultury w Polsce

W dziedzinie organizacji kultury narodowej dwie sprawy stały się ostatnio przedmiotem wcale żywej, jak na nasze śpiące stosunki dyskusji: sprawa centralizacji kultury i sprawa stosowania przy-
musu w sferze kultury.

W dyskusji jaka się wywiązała, p. Jan Rohowicz na łamach „Czasu“, rozważył dwie strony zagadnienia centralizacji. Jedną z nich jest uporządkowanie akcji kulturalnej samego rządu w tym sensie, że usunięta byłaby rozbieżność i przypadkowość wysiłków instytucji i organów rządowych. „Nie jest rzeczą zrozumiałą, pisze Rohowicz, że budżet Wydziału Sztuki znajduje się na szarym końcu wydatków budżetowych; że na propagowanie sztuki za granicą wydajemy więcej, niż na jej popieranie w kraju“. Druga strona zagadnienia, której powstanie jest sprawą dr. Zdzisława Stahla, polega na stworzeniu ośrodka centralnego dla organizacji kultury.

Pożytek uporządkowania tych akcji, które władze państwowe podejmują z tytułu mecenatu nad sztuką, jest bezsporny. Zadrzaśnień i poważnych trosk nasuwałoby się tutaj sporo. Dość wspomnieć sprawę baletu reprezentacyjnego i spra-

wę stypendium dla Gronowicza. Obie te historie wydają się wręcz nudne — ale p. Gronowicz pisze w lewicowej prasie nowojorskiej, że „uciekl ze zmilitaryzowanej Europy“. Uciekł — ze stypendium państwowym w kieszeni. Sprawa baletu — to jeden prosty problem: łatwiej za granicę dziś wyjechać — za pieniądze publiczne — baletnikom, niż pisarzom. Dla pisarzy są dwa stypendia po 1500 złotych każde. Chodzi niby o propagandę, o objęcie w spadku sławy baletów rosyjskich. Nie wiem, czyż by Diagilew reprezentował w swoim czasie Rosję carską w oczach Zachodu czy raczej Tołstoj, Dostojewski czy inni? Tu jest jakieś straszliwe nieporozumienie, a raczej niezrozumienie. Przecież trzeba wypuścić młodych ludzi za granicę, niech coś zobaczą, czegoś się nauczą. Z pożytkiem odrobiają te pieniądze po powrocie. Utraciliśmy w literaturze kontakt z Zachodem. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Wyspiański, Żeromski, Brzozowski jeździli po Europie. To nie, że emigracja, że polityka. Właśnie przeciwnie — wolne państwo powinno dbać o pisarzy bardziej niż o baletnice. Warunki materialne dzisiejszych czasów nie pozwalają pisarzom na artystyczne wo-

jaże. A potem narzekamy jeden na drugiego, jesteśmy sobą znudzeni, zazdrościmy świeżego powietrza Lepeckiemu czy Fiedlerowi. Pamiętam jak Wierzyński zachęcał nas, kilku młodych, do wyrwania się za granicę. Miał rację, na pewno. Sądzę, że p. Rohowicz ma rację, gdy proponuje oddać dyspozycję kwotami, przeznaczonymi na rzecz sztuki, w ręce samorządu artystycznego. P. Rohowicz w Akademii Literatury widzi początek takiego samorządu; zaleca przecież gruntowną przebudowę tej instytucji, zanim stanie się ona takim ośrodkiem organizacyjnym — przede wszystkim przez zmianę charakteru P.A.L. i uzupełnienie zbyt jednostronnego dziś jej składu personalnego.

Innym problemem jest stworzenie centralnego ośrodka organizacji kultury. P. Rohowicz wyraża obawę, aby ten centralistyczny ośrodek nie zabił inicjatywy entuzjastów, którzy na prowincji dokonują takich cudów jak wychodząca w Chełmie Lubelskim od pięciu lat „Kamena“, jak „Okolice poetów“ w Ostrzeszowie, jak krakowski „Nasz Wyraz“. Przypuśćmy nawet, że centralizacja p. Stahla tego rodzaju placówek nie zniszczyłaby, należy wysunąć inne zarzuty, o wiele istotniejsze.

Koncepcja pos. Stahla jest albo mglista albo niedopowiedziana do końca. Jakie zadania stanęłyby przed tym centralnym ośrodkiem kultury? Tu może się nasuwać kilka odpowiedzi. Instytucja tego rodzaju mogłaby być nadrzędną organizacją zawodową artystów, publicystów, dziennikarzy i t. d., wyznającą i szerzącą określony pogląd na świat — jak to ma miejsce w niemieckich izbach kultury. Mogłaby mieć i inne zadanie, zadanie popularyzacji kultury przez subsydiowanie i zakładanie bibliotek, teatrów, uniwersytetów regionalnych, jak w swoim czasie Macierz Szkolna czy Tow. Czyteln. Ludowych.

Zdaniem moim koncepcja stworzenia w Polsce czegoś analogicznego w zadaniach i w strukturze jak niemieckie izby kultury — jest przynajmniej w obecnej chwili nieaktualna i wręcz szkodliwa. Istotą tego rodzaju działania musiałoby być oparcie się o jednakowy pogląd na świat, o jednakowy typ cywilizacyjny. Pos. Stahl nie zaprzeczy zapewne, że w Polsce w aktualnej porze nie ma mowy o jednolitym typie cywilizacyjnym i jednolitym poglądzie na świat. Jesteśmy w fazie ścierania się sił starego i nowego świata, starej dziewiętnastowiecznej cywilizacji i nowej, która nie ma jeszcze oblicza. Taka jest prawda: nikt jeszcze w Polsce nie sformułował merytorycznej treści nowej cywilizacji, nowej polskiej narodowej kultury. Mamy programy polityczne, które są albo kompilacją, albo — w innych wypadkach — śmiałą forpocztą w przyszłość. Ale nie ma w Polsce nurtu ideowego, któryby wychodził z własnych i oryginalnych założeń historycznych i filozoficznych, z własnego patrzenia na świat. Cywilizacja — to dążenie do określonego celu. Nie określimy tego celu w konkretnej wymowie postulatów.

Narzucanie munduru organizacyjnego inicjatywom indywidualnym w tej płaszczyźnie *byłoby*

w chwili obecnej zabiciem możliwości narodzin, byłoby tamą u źródła. Bo łatwo jest powołać do życia aparat biurokratyczny, ale trudniej formułować nurt czasu.

Inna jest sprawa koncepcji Macierzy Szkolnej, to znaczy koncepcji analogicznej w strukturze i zadaniach do Macierzy. Tutaj sprawa ma profil bezsporny: upowszechnienie kultury w Polsce jest pierwszoplanowym problemem, jest warunkiem naszej siły, naszego imperializmu. Ale powiedzmy to szczerze — tych rzeczy nie załatwia się improwizacją inicjatywy. Dobre są muzea, biblioteki, teatry, świetlice, gdy nie ma powrotnego analfabetyzmu, gdy szkolnictwo powszechne na wsi nie żyje w fikcjach dwu — lub czterooddziałowej szkoły, gdzie dzień przez kilka lat wbijają sobie w głowę te same proste prawa elementarne, które potem zapominają. Nie dla braku zdolności, dla złej organizacji szkoły powszechnej. Dłacie kwiatków przy kozuchu. Mówmy prostą prawdę: upowszechnienie kultury w Polsce, które jest dźwignią naszej siły politycznej i wojennej, jest kwestią właściwej organizacji szkolnictwa powszechnego i zawodowego. Potem — reszta.

Dyskusję nad przymusem w sprawach kultury wszczął St. Piasecki swym projektem „bonów kultury“. Projekt ten sprowadza się do zasady, że 2% uposażeń byłoby wypłacane w formie bonów, za które możnaby nabyć wyłącznie książki, bilety wstępu do teatru, na koncerty i t. d. Artykuł Piaseckiego przeszedł w bębniech protestu — „totalista“! — krzyknięto; jeden tylko dotychczas St. Rembek, wybitny i niedoceniony powieściopisarz, stanął po stronie Piaseckiego.

Gdyby sprawę brać dosłownie, to z pozoru może się wydawać, że nikogo nie da się zmusić, aby rozwijał swe psychiczne bogactwo. Można się uprzeć — i pozostać ubogim. W swoim czasie w Finlandii za kradzież ucinano lewą rękę — dziś Finlandia słynie z uczciwości. Z kulturą tak nie można to prawda. Ale czy w stosunku t.zw. inteligencji do kultury nie odgrywa żadnej roli lenistwo i czy tego lenistwa nie należy przełamać? Nie można powiedzieć, aby w Polsce nie czytano książek i nie uczęszczano do teatru. Stałe teatry istnieją nie tylko w Katowicach i Poznaniu, ale i w Łucku i w Grodnie. Chodzi tylko o to, że dzisiejsza publiczność czyta bez wyboru i chodzi do teatru chętniej na t. zw. lekki repertuar, niż na klasyczny, prawdziwy dramat. Trzeba więc publiczność wychować. W tym zakresie, moim zdaniem, projekt „bonów kultury“ ma pewną niedostateczność. Zawinili pisarze, zawinili kierownicy repertuaru teatralnego. Po odzyskaniu Niepodległości literatura polska nie nadażyła krokom historii. Zajęła się sprawami, które nie leżały w zainteresowaniach ogółu. Pisarze, za wyjątkami nielicznymi, oddali się psychologicznym wiwisekcjom. Publiczności to nie obchodziło, publiczność nudziła się taką literaturą. W końcu dała za wygraną. Czyta t.zw. lekką literaturę, książki Marceżyńskich, Dell'ów, Max-

well'ów. A pisarze piszą dla siebie i dla kilkunastu znajomych, którzy chwalą zapomnianych geniuszy.

Trzeba, aby pisarze się opamiętali, aby posłuchali naszego czasu. Wtedy, gdy dojrzą problemy Bałtyku, Śląska, Ziemi Wschodnich, L.O.P.P.-u, mniejszości żydowskiej, starcia europejskich potęg

— trzeba będzie wychować publiczność — może zmusić.

Ten wstępny etap, etap przełamania, — należy do krytyki. Krytyka polska — czy jest przygotowana do podjęcia tak wykreślonej roli?

Nasza ankieta w sprawie śląskiej nagrody literackiej

AUGUSTYN GRODZICKI
Redaktor w Katowicach.

Śląsk powinien mieć swoją nagrodę literacką, czy w ogóle artystyczną. Wstyd nawet, że do tej pory najbogatsze województwo w Polsce jej nie ma i o niej nie pomyślało. Przyczyną tego było zapewne lekceważenie zagadnień kulturalnych w szerszym pojęciu, charakterystyczne dla okręgów przemysłowych, z drugiej strony zaś nikłe tętno życia kulturalnego na Śląsku. Obie te rzeczy idą zresztą z sobą w parze, ale skoro ostatnio to tętno zaczyna się ożywiać, czas by znalazło wzmacniający zastrzyk ze strony tych, których na to winno stać. Oczywiście samymi nagrodami nikt jeszcze nie stworzył literatury i sztuki, ale pomoc materialna może ułatwić pracę wielu talentom, borykającym się z trudnościami życiowymi i dać im możliwość dalszego rozwoju.

Sądzę, że nagroda winna być dość wysoka i niepodzielna, tak by nie stanowiła jakiejś doraźnej zapomogi, ale umożliwiła poznanie świata przez wyjazd za granicę, albo przynajmniej przez dłuższy czas uwolnienie się od zajęć i trosk zawodowych. W statucie winno być zaznaczone, że nagroda może być w braku odpowiednich kandydatów nie przyznana w ogóle dla uniknięcia nagradzania miernot, bo w ten sposób nagroda minęłaby się z celem i stałaby się czynnikiem popierającym grafomanię. Jak obecnie jednak, myślę, że laureatów by nie zabrakło ani wśród młodych, ani wśród najmłodszych. Pierwszeństwo naturalnie musieli by mieć pisarze, mieszkający na Śląsku i twórczością swą z nim związani. Ten drugi warunek w ogóle powinien być nieodzowny dla uzyskania nagrody.

Znacznie trudniej niż o laureatów byłoby, moim zdaniem, o znalezienie odpowiedniego... komitetu nagradzającego, takiego, który by nie wyróżniał ani grafomanów, ani lichoty z jakichś tam względów szanownej, ani znajomych politycznych i niepolitycznych, ani kuzynów, przyjaciół i t. p.

Ale i te trudności można by w końcu przezwyciężyć, choćby się miało z tego powodu obrazić paru kandydatów na członków jury i na laureatów.

ROMAN LUTMAN
Dyrektor Instytutu Śląskiego.

Nie ulega wątpliwości, że na Śląsku powinna istnieć stała nagroda literacka i naukowa. Instytut Śląski już przed dwoma laty wszczął akcję w tym kierunku i opracował szczegółowy projekt statutu. Akcja ta jednak nie mogła zostać zrealizowana. Jestem przekonany, że w niedługim czasie sprawa utworzenia takiej nagrody stanie się aktualna i doczeka się realizacji.

Opracowany przez Instytut Śląski projekt statutu przewiduje utworzenie dwóch nagród: „śląskiej nagrody artystycznej“ i „śląskiej nagrody naukowej“. Śląska nagroda artystyczna miała by być przyznawana corocznie jednemu z **aktywnych** polskich artystów za **całokształt** pracy twórczej w zakresie literatury pięknej, sztuki i muzyki, przy czym w pierwszym rzędzie uwzględnieni być winni artyści, których działalność bezpośrednio lub pośrednio związana jest ze Śląskiem.

Śląska nagroda naukowa miałaby być przyznawana jednemu z **aktywnych** uczonych polskich za całokształt pracy w jakiegokolwiek dziedzinie nauki przy czym w pierwszym rzędzie uwzględniać należałoby uczonych, których prace związane są w jakiegokolwiek sposób ze Śląskiem.

Projekt więc nie ogranicza przyznawania nagród do Ślązaków, Ślązacom lub osobom związanym ze Śląskiem przyznane byłoby pierwszeństwo przy otrzymywaniu nagród. Chodzi bowiem o to, by z jednej strony zainteresować wszystkie twórcze siły artystyczne i naukowe polskie zagadnieniami śląskimi, z drugiej jednak strony by wzmocnić zainteresowanie Śląska twórczością naukową i artystyczną Polski.

Nadto w projekcie nacisk położono na to, by nagrody przyznawano **aktywnym** polskim arty-

stom i uczonym, oraz za **całokształt** pracy, a nie za indywidualne dzieło. Chodzi tu o to, by nagroda nie stała się darem dla osób najbardziej może zasłużonych, ale stojących u kresu swej twórczości. W takim razie bowiem nagroda miałaby charakter wyłącznie konsumpcyjny. Dla takich osób właściwszą formą uznania są odznaczenia i honorowe tytuły. W projekcie zaś chodzi o to, by nagroda, która miałaby być stosunkowo wysoką, dała nagrodzonemu możliwość dalszego rozwoju i twórczej pracy.

Nadto projekt przewiduje, że gdyby nie można było w danym roku przyznać nikomu nagrody, kwota przeznaczona na nagrodę winna być użyta albo na subwencję dla jednej z instytucji śląskich, których działalność odpowiada celom nagrody, albo na zasiłki dla uzdolnionych artystów i pracowników naukowych ze Śląska, celem ułatwienia im dalszych studiów w kraju lub za granicą.

Pomijam dalsze szczegóły projektu, które mają już charakter formalny. W ten sposób odpowiedziałem na dwa pierwsze punkty ankiety.

Co do trzeciego punktu ankiety — czy są obecnie na Śląsku artyści i uczeni zasługujący na tego rodzaju nagrody, nie sędzę, by należało już teraz operować nazwiskami. Niewątpliwie w ostatnich kilku latach Śląsk okazał ogromną żywotność i aktywność we wszystkich niemal działach twórczości artystycznej (a także naukowej). Trudno jednak teraz oceniać, czy wyniki tej twórczości zasługują już na nagrodę publiczną.

JÓZEF MAYER.
Bibliotekarz Śl. Bibl. Publ.

ad 1) Śląsk powinien posiadać stałą nagrodę naukową, literacką i artystyczną.

Śląsk jest czasem mało lub jednostronnie znany w innych dzielnicach Polski — częściowo z racji wzajemnych separatyzmów. Stworzenie nagrody śląskiej — „śląskiej“ w zakresie **tematu** a nie proveniencji nagradzanych — może wzmóc zainteresowanie się Śląskiem wśród uczonych, pisarzy, artystów i szerszego ogółu z poza Śląska. Pozwoli to na bliższe poznanie Śląska przez Polskę — z drugiej zaś strony na ujęcie lokalnych problemów naukowych i artystycznych śląskich z szerszego, ogólnopolskiego punktu widzenia.

Śląsk przedstawia swoisty, na ogół jednolity i zamknięty w sobie region, dość odmienny od reszty Polski — zarówno z racji swej przeszłości jak i obecnego stanu, tudzież odrębnej w tylu dziedzinach struktury. Obok pielęgnowania jego trwałej

więzi z Rzeczpospolitą, należy w myśl rozumnie pojętego regionalizmu otoczyć opieką niektóre jego cechy i zagadnienia specjalne — przez poparcie w formie nagród odpowiednich badań naukowych czy wypowiedzi artystycznych.

Stwarzając stałą nagrodę artystyczną, literacką i naukową Śląska, nie powinno się jej traktować **mechanicznie**: przyznawać ją nie wedle martwych schematów czasowych (co roku...), lecz zależnie od ukazania się dzieł istotnie na nagrody zasługujących. Praktyka innych miast, które ustanowiły podobne nagrody, wskazuje bowiem iż w przeciwnym razie przychodzi nieraz do obniżenia kryteriów wartości prac nagradzanych — z konieczności znalezienia za wszelką cenę corocznych laureatów.

ad 2) O przyznaniu nagrody, winien decydować raczej **temat** i wartość samej pracy niż pochodzenie autora. W wypadkach równych uprawnień pierwszeństwo winno być jednak zastrzeżone osobom pracującym czynnie na samym Śląsku.

ad 3) Nie wątpię, że znajdują się na Śląsku odpowiedni kandydaci do powyższych nagród — trudno mi jednak powiedzieć o tym coś konkretniejszego z racji zbyt krótkiej jeszcze znajomości tutejszego terenu.

PAWEŁ RYBICKI
Dyrektor Śląskiej Biblioteki Publicznej
im. Józefa Piłsudskiego.

Mniemam, że ustanowienie nagrody naukowej, literackiej i artystycznej na Śląsku mogło by być nie bez pożytku ogólnego. Przemawia za ustanowieniem takich nagród odrębność regionalna Śląska, jak również potrzeba kultywowania i popierania śląskiej lub ze Śląskiem związanej twórczości artystycznej i naukowej.

Ażeby jednak instytucja nagrody pełniła swoje zadanie, winny nagrody być przyznawane tylko za rzeczywiście wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki, literatury lub sztuki. Innymi słowy nagroda nie powinna nigdy stawać się rodzajem zasiłku, który służy poparciu chociażby pożytecznych lecz co do poziomu swej pracy miernych badaczy lub artystów. W związku z tym nie należało by, jak sędzę, myśleć o corocznym przyznawaniu nagród.

W poruszonej przez ankietę kwestii, komu należałoby przyznawać ewentualne nagrody, trzeba by zachować nie za ciasno pojęty regionalny punkt widzenia. Dla kwestii kultury duchowej na Śląsku jest rzeczą ważną, ażeby rozwijała się tutaj twórczość artystyczna i naukowa, nie tylko poświęco-

na regionalnym tematom. Sądę więc, że w przypadku ustanowienia nagrody winni mieć do niej prawo Ślązacy i osoby stale na Śląsku zamieszkałe za wybitną twórczość bez jakiegokolwiek ograniczenia jej treściowego. Z drugiej strony dla Śląska ma poważne znaczenie uprawa tematów śląskich w sztuce i literaturze ogólnopolskiej, zwłaszcza zaś opracowywanie zagadnień śląskich przez polską naukę. Stąd prawo do nagrody winno by przypadać także osobom z poza Śląska — jednak już tylko za dzieła treściowo z Śląskiem związane. Przy takim zakreśleniu grona „uprawnionych” można by, jak miemam, znajdować w pewnych okresach czasu właściwych kandydatów do nagrody śląskiej.

JAN SMOTRYCKI

Kierownik literacki red. „Polonii”.

Nagroda literacka na Śląsku powinna powstać, zarówno ze względu na zasoby finansowe województwa, które mogłoby z łatwością ją stworzyć, jak i ze względu na ożywiony ruch literacki, jaki się zaczął budzić na Śląsku (i o Śląsku) i jaki należałoby otoczyć troskliwą opieką. Idę dalej: Śląsk stać na ambicję ufundowania (nie z jednego naturalnie źródła gotówkowego) nie jednej ale dwóch nagród literackich — np. za literaturę piękną i za publicystykę literacką. Nagroda(y) powinna być coroczna i niepodzielna.

Nagroda winna być przyznawana nie koniecznie tylko Ślązakom, ale w każdym razie twórcom, z Śląskiem ściślej i dłużej związanym, osobiście czy tematycznie.

Nagroda winna być — powtarzam — stanowczo — **niepodzielna i stale** — co rok — przyznawana, aby nie stać się narzędziem gierki protekcyjnych i t. p. w rękach sądu konkursowego.

Wybór tego „sądu” nastrocza niemało trudności — z góry przewidzieć należy. Łatwiejszy będzie wybór kandydatów do nagród. Narazie starczy ich na parę lat, a wierzę, że i dalej nie zabraknie.

Ks. Dr EMIL SZRAMEK.

ad 1) Powinna istnieć. Początek zrobiony, skoro Śląskie Tow. Literackie dysponuje znacznym funduszem, którego odsetki są przeznaczone na popieranie piśmiennictwa śląskiego oraz nagradzanie prac literackich, poświęconych Śląskowi. Chodziłoby o utworzenie jeszcze nagrody artystycznej i naukowej — i uzgodnienie warunków wszystkich trzech nagród.

ad 2) Zależy zupełnie od woli fundatorów. Jeżeli śląska nagroda ma mieć charakter ogólnopolski, powinna się opierać bezwzględnie na stwierdzonych obiektywnie walorach artystycznych lub naukowych i być dostępną także dla autorów z poza Śląska. Jeżeli zaś śląska nagroda ma mieć charakter regionalny nie tylko w tematach ale i co do autorów, wtedy służyłaby winna pobudzaniu twórczości samych Ślązaków. Osobiście jestem za nagrodą regionalną w sensie drugim.

ad 3) Nie brak autorów godnych nagrodzenia.

ANTONI WRZOSEK.

Jest chyba rzeczą niesporną, że Śląsk powinien posiadać stałe nagrody: literacko-artystyczną oraz naukową. Wielkie znaczenie tej ziemi w obrębie naszego Państwa nakazuje jak najrychlej wyrównać zaniedbania w zakresie rozkwitu nauki i literatury oraz sztuki, jakie się tłumaczą długowiecznym oderwaniem Śląska od innych regionów Polski. Każdy przyzna, że w ostatnim okresie czasu Śląsk dokonał bardzo wiele na tym polu, nie mniej wskazane jest dalsze podsyćcie rozwoju kultury i nauki, do czego właśnie przyczyniłyby się znacznie wspomniane nagrody.

Nagrody powinny być dwie: literacko-artystyczna i naukowa, obie przyznawane **corocznie i niepodzielnie**, przy czym nagroda literacko-artystyczna winna być przyznawana na przemian reprezentantom literatury oraz plastykom i muzykom. W razie nieprzyznania nikomu nagrody w jakimś roku, kwota nagrody winna być przeznaczona na zasiłki dla instytucji lub stypendia dla osób pracujących owocnie na danym polu i w tym wypadku mogłaby być podzielona.

Sądę, iż nagrody powinny być przyznawane za wybitne prace literackie, artystyczne i naukowe, związane tematowo ze Śląskiem, bez względu na pochodzenie autorów, jednak w razie równych szans z zastrzeżeniem pierwszeństwa dla Ślązaków i osób pracujących stale na Śląsku. Natomiast wyłącznie rodowitym Ślązakom mogłyby być przyznawane nagrody także za prace nie dotyczące tematowo Śląska, o ile prace takie stanowią istotny wkład do kultury ogólnopolskiej.

Na pytanie, czy są w tej chwili na Śląsku osoby, zasługujące na omawiane wyżej nagrody, trudno na tym miejscu odpowiadać, w szczególności zaś z podawaniem nazwisk. Żywy rozwój prac kulturalnych i naukowych na Śląsku daje rękojmię, że z chwilą utworzenia nagród, będzie komu ich udzielić.

Ondra Łysohorsky

Ondra Łysohorsky, to pseudonim poety, pochodzącego z nad Ostrawicy a piszącego swe poezje polsko-czeską gwarą „laską“. Terminem „gwar laskich“ oznaczają językonawcy dialekty przejściowe polsko-czeskie, jakimi mówi słowiański lud wiejski Śląska Opawskiego, Huleczyńskiego, północno-wschodniej części Moraw oraz Okręgu frydeckiego w okolicy miasta Frysztatu, Mor. Ostrawy, Opawy, Huleczyna i Frydku. Narzeczono to charakteryzuje polski akcent na przedostatniej zgłosce, brak czeskich różnic iloczynowych (wszystkie samogłoski są krótkie, jak w języku polskim), miękkość spółgłosek (polskie dźwięki *č, dž, š, ž*), zaś z właściwości czeskich głównie (nie zawsze całkowicie) brak nosówek, występowanie spółgłoski *h* zamiast polskiego *g* (i tu spotyka się wyjątki). — Dwa tomiki Łysohorskiego, „Śpiwajucio pisać“ i „Hłos hrudy“, zwróciły na niego uwagę całego świata literackiego czeskiego

i słowackiego, w Polsce natomiast nie znalazły dotąd prawie żadnego oddźwięku, co musi dziwić choćby z tego względu, że autor, w polemice z krytykami czeskimi wyraźnie podkreśla, że z punktu widzenia językoznawczego, gwara laska swoimi najbardziej charakterystycznymi cechami jest zbliżona polszczyźnie raczej niż językowi czeskiemu. Poezje Łysohorskiego oraz tło, na którym poeta pojawił się, najobszerniej dotąd w literaturze polskiej przedstawił Władysław Ligota w artykule „Ondra Łysohorsky, pierwszy poeta laski“, („Zaranie Śląskie“, r. 12: 1936, zeszyt 4, str. 241-245).

Trzy wiersze Łysohorskiego, które drukujemy poniżej, pochodzą z trzeciego tomiku „Skrzydłami przez mrzeże“ (= kraty), przygotowanego do druku już w zeszłym roku, niestety dotąd nie wydanego.

Podzim nad rzeką

Jak s szwihónkami smutnych werb
hroł wiet s twojim własem.
Podzimni dzień wesnianym dniem
dozdrzwoł twojim hłasem.

Tych samych żółtych stołów hra,
tych samych mostów filigrany.
W echu rybiorek modreho dnia
hłucho padaju kasztany.

Ta sama kniżka otwórzono,
czerweno s cinnym pasem.
Wersze su nieme. Wiet w nich hraje
jak roz z twojim czernym własem.

Nieskoro

Moje ruki dwie prozne sterniska we sniechu rana.
Burzky zrodziły a hnały wesna w podzimniu zernitość.
A przed podzimem przyszeł snih.

Cudze ruki skosiły obili nahonem.
Cudze konie zawezły zbożi do stodół kalópem.
Cudze cepy dobiły noc.
Słysz! Czuch chleba sie wali przes moje pustaciny.

Tyś przyszła. Nieskoro. Ty echo wesna. Ty rudy maku we snie-
Moje ruki niezwelnie sie w hory, by bronily seweru. [chu.
W bilej samocie tu stojisz,
ż przydzie noc
a tebe do mie skłoni.

Balada o winicy

Rozmodrzy niebo sie, by mie skruhliło?
Tużba kiela storoczi we mie leży?
A kiela ciniów už mie przydusiło?

Winicach je. S przykreho kopca bieżim.
Nad każdym rewem rosnie terpkie krzowi.
Terny dluhucne dusio słónca hłod.

Kaj plewajucio ruka, co odpowi:
En modre słónco rodzi pelny płod.

Jan Wypler

Nad słownikiem Domana Wielucha

Kiedy niedawno rozmawiałem z Wacławem Sieroszewskim o języku chińskim, doskonały pisarz zapytał mnie od razu, czy również mówię po chińsku.

Odpowiedziałem, że nam, którzy nauczyliśmy się czytać po chińsku za pomocą metody Domana Wielucha z Katowic, tekst fonetyczny jest nie potrzebny. Słusznie zauważył na to twórca „Ol Soni Ki San“:

„Pan ma rację! Znajomość dźwięku jest tutaj zupełnie niepotrzebna“, po czym opowiedział mi

jak to wykształceni Azjaci z różnych krajów i stron często prowadzą ożywioną rozmowę zupełnie po cichu, tylko za pomocą pędzelka i kawałka papieru.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pismo chińskie jest obrazkowe, że zatem zwraca się przede wszystkim do oka, podczas kiedy we wszystkich innych językach pisze się słowa znakami *wokalnymi* abecadla. Ponieważ więc język chiński posiada *pismo pojęciowe*, przeto, aby najkrótszą drogą dojść do zrozumienia owego pisma, można i trzeba zrezygnować tymczasem z uczenia się jego strony fonetycz-

nej. Pytają mnie często, co znaczy po chińsku „Czang“ albo „Fu“ albo „Li“ itd. Takie pytania są zupełnie bez sensu, ponieważ Chińczyk oddaje fonetycznie przeszło 50 tysięcy obrazków swego pisma za pomocą mniej więcej 450 brzmień jednozgłoskowych tak, że na jedną sylabę np. „I“ wypada kilkaset znaczeń najrozmaitszych i nieczym ze sobą nie związanych. Kto wniknął w tajemniczy świat chińskiego pisma obrazkowego, może porozumiewać się z każdym, kto również nie zna brzmienia ani jednego słowa chińskiego. F. Gilbert, informator na polu nauki języka chińskiego, pisze: „Jedynie w swoim rodzaju chińskie pismo pojęciowe stoi daleko wyżej, jako środek porozumiewania się, od europejskich pism paplających“ („China-Bild-Schrift als Welthilfsschrift“ „Böttcherstrasse“ rok pierwszy, zeszyt 6, 1928). Prawda — dodaje Gilbert — że pisma tego trudno się nauczyć, usiłuje on jednak tę wadę usunąć przez lepszą, systematyczną dydaktykę. Usiłowania jego pozostały jednak pobożnym życzeniem. Albowiem zasada Gilberta „nazw mnemotechnicznych“ na złożone znaki chińskie wprowadza dla początkującego raczej nowe komplikacje. Dopiero D. Wieluch, opatrując nazwami elementy graficzne pisma chińskiego i pozwalając je wyrazić w ten sposób naszymi łacińskimi literami, wskazał jedyny sposób, w jaki można chińskie pismo obrazkowe wyrażać i wypisywać tak, jak słowa naszych języków.

Wieluch konstatuje: Dla uprzystępnienia Europejczykowi nieprzebranej wprost ilości znaków pisma chińskiego istnieje wprawdzie cały szereg grubych foliów, które jednak wywierają na początkującym wrażenie raczej odstrasające, bo, aby z nich skorzystać, trzeba zmusić porównywać jeden bezsensowny zygzak z drugim, kosztem wielkiego a często bezpłodnego wysiłku umysłowego, natężenia pamięci i wielkiej straty czasu. Wyszukiwanie znaków odbywa się w dotychczasowych słownikach zazwyczaj według klasyfikacji słownika Kang-hi (tak nazwanego od nazwy epoki cesarza Szeng-Cu (1662—1723), który go wydał). Według tej metody rozróżnia się przede wszystkim 214 „źródłosłów“, których znaki są uporządkowane według ilości kresek, potrzebnych do ich napisania. Trzeba bardzo dużo czasu, aby zapamiętać sobie ilości kresek. W klasie każdego źródłosłowa charaktery są znowu uporządkowane według ilości kresek. Charaktery o tej samej ilości kresek, a jest ich czasem 100 i więcej, są już ułożone dowolnie, w każdym słowniku w innym porządku. Aby zatem wyszukać jakiś znak, trzeba pamiętać numer klasy, liczyć kreski, a potem porównywać kształty — o ile szukamy znak znajdujący się we właściwej klasie i grupie, ponieważ co do ilości kresek bardzo często zdania są podzielone. To też R. Kunze, również uczony w zakresie dydaktyki pisma chińskiego, pisze, że „nie tylko początkujący, często po rozpaczliwym szukaniu, rezygnują ze wychyśleń, ale że nawet uczeni Chińczycy i Japończycy dopiero po długim namyśle i wertowaniu mogą znaleźć szukany znak“. Nie jest możliwą metoda, która by pozwoliła znaleźć każdy żądany

znak szybko i napewno w układzie Kang-hi. Te trudności odnoszą się do wszystkich słowników, bez różnicy, czy to będzie Soothill, Mathews, Giles, Tsang, Couvreur, Wiegner itd.

Słownik Wielucha nie wywołał wśród naszych lingwistów żadnego echa. Jedyna recenzja, utrzymana na poziomie naukowym, napisana została przez buddologa, profesora Dr. St. Schayera w Warszawie. Recenzję tę musimy wziąć pod lupę dlatego, ponieważ ukazała się ona w języku angielskim w czasopiśmie „The Polish Bulletin of Oriental Studies, fol. I, Warszawa 1937, p. 108—109“, i przeto jest zapewne znana światu naukowemu, chociaż nauce polskiej wyrządzono nią niedźwiedzią przysługę.

Po bardzo krótkich i bynajmniej nie wyczerpujących, raczej pobieżnych uwagach o zasadzie metody Wielucha, autor recenzję kończy następującym apodyktycznym orzeczeniem:

„P. Wieluch jednak przypisuje swej metodzie daleko większe znaczenie i oczekuje, że za pomocą niej ułatwi studium chińskiego języka i literatury. Muszę stwierdzić z przykrością, („I am sorry to say“), że nadzieje te są zupełnie z palca wyssane. Sinologowie z pewnością będą woleli uczyć się po chińsku według „starej i trudnej metody“ tak, jak zresztą nie ma mowy o publikowaniu wszystkich skarbów literatury chińskiej w transkrypcji p. Wielucha“ (sic!).

Taki kategoryczny sąd jest zupełnie nieuzasadniony i jest raczej prze-sądem recenzenta.

Kto poważnie i z dobrą wolą zagłębi się w metodę Wielucha, ten musi uznać, jako jej największą zasługę, ogromne zaoszczędzenie czasu przy wyszukiwaniu znaków, bo najtrudniejszą częścią słownika Wielucha, listę elementów graficznych i ich nazw, przeciętny uczeń umie na pamięć już po kilku tygodniach. Od tej chwili używa się słownika Wielucha tak jak każdego słownika np. angielskiego. Kto zaś mimo tego, znając system Wielucha, chciałby się uczyć starą i trudną metodą, byłby podobny do podróżnika, który upierałby się przy podróżowaniu powozem, pomimo istnienia kolei i samochodów. Prawdziwi znawcy chińszczyzny, którzy sami opracowali nowe systemy, mające ułatwić jej naukę, jak np. Gilbert lub Kunze, stanowczo odrzucają dawną i trudną metodę. R. Kunze pisze m. in., że ta stara metoda nas zmusza „uczyć się na pamięć bardzo nudnego schematycznego balastu, który z niczym się nie wiąże i dlatego jest bardzo trudny do zapamiętania“. To też Kunze czywił rzeczywiście naukę języka chińskiego, wprowadzając do niej zasadę etymologiczną, ale z drugiej strony obarczył początkującego jeszcze więcej, niż tego wymaga słownik Kang-hi, w którym właściwie zmienia tylko kolejność i to tylko w niektórych wypadkach. Możemy się jednak z nim zgodzić, że stara trudna metoda jest bardzo zmusna i połączona z wielką stratą czasu nawet dla ekspertów, a dla początkujących jest po prostu niemożliwa. Gdyby Wieluch nie był uczynił nie

innego jak tylko te, że umożliwił błyskawiczne znalezienie znaku chińskiego w słowniku, to już byłoby wielką zasługą dla sinologii. Ten moment przede wszystkim podniosłem w ustnej rozmowie z recenzentem, a z zyskiem na czasie rośnie ochota. To jest źródłem wszelkiej owocnej pracy. Lektura dzieł chińskich staje się „Wiedzą radosną“.

W rozmowie ze mną recenzent, rzecz dziwna, podniósł zarzut, że Wieluch podaje za mało znaczeń przy charakterach, ponieważ — jak wiadomo — znaczenia mogą być zmienne, zależnie od kontekstu. Prawda, że obrazkowe znaki chińskie są otoczone tajemniczym nimbem wieloznaczności i wielowarstwowości.

Ale w całej tej wieloznaczności przebija się jednak zwykle jakaś idea naczelna, jakiś prawyraz, jakiś wspólny mianownik wszystkich możliwych znaczeń. Jeżeli Wieluch przy licznych ideogramach wszystkich znaczeń nie podaje, to przez to właśnie pobudza czytelnika do czynnej współpracy, ażeby ten wspólny mianownik wyczuć i samodzielnie stosować. Zarzut powyższy właśnie najmniej odnosi się do słownika Wielucha, który przecież zaznacza we wstępie, że w odróżnieniu od dotychczasowej praktyki nie poprzestał na ogólnikowym szablonie, lecz starał się oddać znaczenie subtelniej, ponieważ „język polski może sobie na to pozwolić“. W ten sposób przekładnia jego słownika nie jest zdawkowym tłumaczeniem Gilesów, Soothillów, Wiegerów, itd. lub innych misjonarzy i imperialistów, ale jest owocem własnego przemyślenia, a opiera się wyłącznie na oryginalnych źródłach chińskich.

Właściwie zarzut profesora Schayera zwraca się raczej przeciwko językowi chińskiemu, którego znaki ze swymi znaczeniami, zwłaszcza dla początkujących, przedstawiają się jak chwiejny miraż obrazów nakształt różnobarwnego kobierca, w którego sztucznie ze sobą splecionych nitkach i ornamentach asocjacje pojęć i nastrojów prowadzą zagadkowy żywot, objawiający się stopniowo tylko poważnemu badaczowi.

„Da regen schauernd sich die toten Aeste
Die Wesen eng von Strich und Kreis umspannet

Und treten klar vor die geknüpften Quäste
Die Lösung bringend über die ihr sannet“.
(Stefan George. *Der Teppich des Lebens*)

Chińczyk myśli *sercem* i duchem. Charakter „myśleć“ składa się w piśmie chińskim z obrazów „głowa“ i „serce“. Uważa on również brzuch (wnętrza) za siedzibę uczoności. Mówi np. brzuch pełen ksiąg klasycznych itd. Literat niedouczony posiada „brzuch żelazny“ lub „brzuch z brązu“.

Filozof Ku Hung Ming pisze:

„Aby zrozumieć literacki język chiński, całe naturalne usposobienie, serce i głowa, dusza i rozum człowieka, muszą być rozwinięte“.

Ideogram chiński zwraca się do całej duchowej aperceptywności człowieka. Aby odczytać wyrazy chińskie w ich właściwym znaczeniu, zwłaszcza w

Paweł Kubisz

Manifest

Z męki rosta moja siła —
Z gromów rodziły się słowa...
A noc szalała i drwiła
By mózgi dusić i rabować!

W płomiennych kulech zielazo —
I w szachtach targotach węgla — —
Do świata wagony wieżom,
Do świata mój ból zaciągli!

Placz swój żech rdzom porosypol
Na kutym w werkach zielazie...
I tam w hawierniach, kiech szczypol
Węgli... kiere okręt wiezie.

Par... z groni ściupane trómy
Kładom na fowy gorole —
Wzrosnom kusi chałpy, dómy...
Łu nas pustka, głuche pole!

I burgi cudzym budujym,
Cudzym kłanióm sie i słózym —
Tyn do nas kopnie, tyn szczuje...
Trzeba nom rana i burzy!

Z krzyży wołajóm ramióna
Biczowanego człowieka:
Tysiącóm kozali skónać,
Tysiącóm śmierć swóm wyszczekać!

Mój kierchów jest pod Opolym,
Mój kierchów jest pod Cieszynym — —
Przy Frydku kwitnom kákele,
Zabity charczym w Huczynie!

Na swoich śmieciach pacholym,
W kurz wbity pańskim bóciśkym —
Z krzykym duszonym mozołym,
Z groby codziyn i noc bliskim!

Cudzy pón wczora haratol
Na niwecz twojóm nijakość — —
I swój pón mo pięść sękatóm...
Psiakrew, pieróna i psiakość!

I zawsze ściyrwym i szmatóm,
I wiecznym slógóm pyszałów...
Dejcie mi czopke strzapatóm —
Wolność Stańczyka... precz z chwałóm!

— — — — —
Chopinie szarpnij za tony!
Kościotrup trzasko w klawisze
Smutnej duszy dziyn skończóny,
Ręka krwióm nuty w takt pisze!

liryce, a więc aby czytać lirykę prawdziwie filologicznie, muszę rozumem i sercem wyczuwać ich zmienne asocjacje i w samych tych znakach utwarzać obraz życia. Krótko mówiąc — muszę umieć niejako przetwarzać się psychicznie, aby odczuć obrazy i zreprodukować je w naszym języku na podstawie związku (kontekstu) z sąsiednimi znakami.

Kto nie umie jasno w swym wnętrzu odczuć i przeżyć całej przędzy i tkanki swych myśli, czyli kto nie umie sensu zamkniętego w ideogramach za każdym razem na nowo wyczuć i przelać ich w ekwiwalent językowy, temu wstęp do istoty chińskiego języka obrazowego jest zamknięty. Ale tu właśnie słownik Wielucha budzi, usypiony we współczesnym człowieku przez abstrakcyjne myślenie, zmysł elementarnego, naturalnego wyrażania się obrazami, uczy nas patrzeć i myśleć pod tym psychicznym kątem widzenia, pod którym znaki te powstały jeszcze w epoce pierwotnej i jeszcze blisko macierzyńskiego łona ziemi.

Z licznych braków słownika Wielucha jego autor zdaje sobie sprawę. Dadzą się one wytłumaczyć przede wszystkim względami finansowymi, skoro książka jest owocem kilkunastu lat benedyktyńskiej pracy w godzinach poświęconych sprawie nauki poza zarobkową pracą autora, bez żad-

nej pomocy i popierania ze strony jakiegokolwiek miarodajnych czynników¹⁾. „Na większy słownik nie miałem środków materialnych“. „Do porządnej lektury trzeba będzie daleko więcej frazesów, jak zresztą więcej charakterów i więcej objaśnień rzeczowych, ale nam chodziło w tej pracy tylko o pierwszy krok, mający wzbudzić zainteresowanie“.

Ale kto miał przyjemność stawiania pierwszych kroków w chińszczyźnie przy pomocy słownika Wielucha, ten od razu znajduje się jak w siedmiomilowych butach i porusza się z całą swobodą we wszystkich słownikach. Nie ma już dla niego żadnych starych i trudnych metod. Jeszcze nigdy nie czułem się duchowo bardziej odmłodzony, jak w towarzystwie tego słownika, który mnie wprowadził w tajemnicze, subtelne piękno liryki chińskiej i w prastarą mądrość wielkich chińskich myślicieli z ich jakże głębokim spokojem duchowym i rytmem duszy bijącym równym taktem wszechświata.

¹⁾ Należy zaznaczyć, że ideowo, moralnie i technicznie popierali Wielucha: sinolog, Prof. Dr. Witold Jabłoński, Dr. Jü Houo-Joei, członek Poselstwa Chińskiego w Warszawie (pierwszy polonista chiński) oraz wierny współpracownik Wielucha p. Konstanty Matuszek.

PRZEZ PRYZMAT

CO ICH BOLI?

Doskonały publicysta Ksawery Pruszyński w artykule o Romanie Dmowskim powiedział: „poglądy młodego pokolenia niemal w całości, poglądy inteligencji polskiej chyba w lwiej części, poglądy wszystkich innych warstw polskich w całych dziedzinach są tak czy owak zaczerpnięte z Dmowskiego. Żeby to tylko! Ci, którzy jako żołnierze walczyli przeciw niemu, dziś, komendę objawszy, jego — nie czytają inną — realizują wolę“.

Przeciw temu twierdzeniu namiętnie zaprotestował na łamach „Wiadomości Literackich“, które artykuł Pruszyńskiego drukowały, Bolesław Dudziński, nie ten z Sejmu, jeden z niewielu, co przeszli przez ucho igielne, ale ten zaprzysiężony wiadomościowy recenzent. Zdaniem Bolesława Dudzińskiego — Pruszyński mocno przesadził, bo przecież są grupy młodzieży zwalczające zdecydowanie ideologię nacjonalistyczną w ogóle a ideologię Dmowskiego w szczególności, bo inteligencja zrzesza się w Klubach Demokratycznych, bo jest Związek Nauczycielstwa Polskiego i Unia Związków Pracowników Umysłowych i t. d. Najparadziej-
sze jest jednak to, że Dudziński uważa za klęskę Dmowskiego wynik ostatnich wyborów samorządowych i udowadnia to ilością mandatów uzyskanych przez Stronnictwo Narodowe. Clou wszystkiego stanowi jednak argumentacja końcowa jego repliki, kwestionująca powiedzenie o tych żołnierzach, co to walczyli przeciw Dmowskiemu a teraz realizują jego idee. Dudziński (przypominamy: Bolesław) stwierdza, że przede wszystkim wśród tych „żołnierzy“ nie ma bynajmniej jednolitości zapatrywań na istotną wartość koncepcji Dmowskiego a poza tym, jeśli nawet w pewnych

sprawach zaznacza się zbieżność poglądów pomiędzy tymi, którzy „objęli komendę“ a zwalczanym przez nich poprzednio obozem Dmowskiego, to jest to „w lwiej zaiste części kwestia **taktyki nie przekonań**, kwestia doboru środków politycznych a nie kapitulacji ideowej“. Píše dalej Dudziński: „Czy taką koniunkturalną asymilację, takie mimikryczne upodobnienie się można nazwać „najwspanialszym zwycięstwem Dmowskiego“ — bardzo wątpliwe“.

Powstaje zatem pytanie: co skłoniło te sfery, o których myśli Dudziński, do takiej zmiany, do takiej gry koniunkturalnej? Widocznie jest koniunktura na nacjonalizm, na ideologię pokrewną Dmowskiemu, na idee, które on kształtował i głosił. I jakoś na tę koniunkturę nie mogą nic poradzić te siły przeciwne, które tak szczegółowo Dudziński poprzednio wyliczał, te różne kierowane przez kliki „Unie“, ci zwyczajcy w wyborach samorządowych.

Zresztą polemista Pruszyńskiego bardzo sobie zadanie uprościł i sprytnie chciał czytelnikom oczy zamydląć, co mu się ze względu na ich skład rasowy niewątpliwie udało. Ideologię nacjonalistyczną, ideologię Dmowskiego zamknął w ramach Stronnictwa Narodowego, podczas, gdy front nacjonalistyczny jest dziś o wiele szerszy, choć jeszcze zróżnicowany i niejednolity.

DENUNCJATORSKA POLEMIKA LITERACKA.

Na pierwszym numerze „Fantany“ mieliśmy przykład denuncjatorskiej polemiki literackiej na Śląsku. Drugi taki przykładzik daje nam ostatnio Warszawa, na szczęście tak samo bezskuteczny a równocześnie bardziej jeszcze kompromitujący.

Oto niefortunna „pogromicielka“ Hłakowiczówny w sławnym już dzisiaj, czy raczej osławionym, sporze o „Ścieżce obok drogi“ pani Wielopolska, chcąc pognębić jednego z obrońców swej antagonistki (którą notabene nazwała „endeczką“) — oskarżyła Jerzego Pietrkiewicza o zdradę stanu z powodu jego wiersza ku czci Dmowskiego, drukowanego m. in. w katowickiej „Kuźnicy“, i żeby go ostatecznie zmiążdżyć, stwierdziła, że jest „oenerowcem“. Dla tej pani skandalem jest fakt, że Pietrkiewicz „oenerowiec“, jest stałym pracownikiem „Polski Zbrojnej“, organu armii.

Odpowiedź, jaką na to od „Polski Zbrojnej“ otrzymała, godna jest najwyższego uznania. Pomijamy już to, że redakcja wyprosiła sobie w sposób stanowczy wtrącanie się do jej spraw wewnętrznych, uważając, że o doborze ludzi do pracy w organie armii decydują czynniki powołane, dla których pomoc pani Wielopolskiej jest co najmniej zbyteczna. Ważne jest inne stwierdzenie, które tu w zrozumieniu jego ważności przytaczamy:

„W duszach rówieśników Pietrkiewicza formuje się już inny aniżeli w duszach ich poprzedników obraz najnowszej historii Polski. Obraz — tak jak ich na to stać — syntetyczny. Czyż trzeba im tę młodą, harmonijną wizję zamącać ustawicznym przypominaniem rozdziewików cichnących z upływem lat“.

To trzeba zapamiętać. Tak myśli nasza armia. Bo armia wie, że tylko dla nacjonalizmu to wszystko, co się mówi o jej potędze i potrzebach, nie jest pustym frazesem. Tylko w ideologii nacjonalistycznej armia odgrywa pełną i właściwą rolę. Inni chcieliby ją widzieć jako tarczę obronną przed różnego rodzaju straszakami totalnymi, nacjonalizm widzi w niej zbrojne ramię walczącego narodu, narodu pracującego na swą wielkość.

PASYWNA OBRONA KULTURY LIBERALNEJ CZY WALKA O KULTURĘ NARODOWĄ.

Wychodzi w Warszawie dwutygodnik, „Obrona Kultury“, poświęcony sprawom obrony upadającego życia kulturalnego w Polsce. Cel piękny i słuszny, tylko trochę dziwni ci obrońcy i dziwny sposób, w jaki zabierają się do obrony.

Czytając artykuły, nieraz i sympatyczne i trafne, w tym piśmie, uderza rzecz jedna: brak głębszej myśli przewodniej, brak zrozumienia istotnej przyczyny, która wywołała zamącenie źródeł naszej i wielu innych kultur. Redaktorom wydaje się, że wystarczy wrócić do dawnych dobrych czasów społeczeństwa mieszczańskiego, zwalczyć dwa potwory: etatyzm i totalizm (które straszą na każdej stronie pisma) jak, tego już pismo nie podaje — aby wszystko wróciło do normy — bodaj przedwojennej.

Niestety są to wszystko złudzenia. Życie kulturalne nie wróci w dawne liberalne łożysko. Kulturze też nie trzeba budować żadnych potężnych „linii Maginota“ niby na

wzór tych wałów rzymskich, które miały bronić rozpadające się państwo przed najazdem barbarzyńców z północy. Defenzywa to nie obrona. Beznadziejny pasywizm. Autorzy artykułów widzą załamywanie się poszczególnych od-cinków życia kulturalnego, oświaty, szkolnictwa, i chcą z tym walczyć, bez zrozumienia **dlaczego** następują te załamania, współzbieżne i zależne od siebie. „Biją na alarm“, „ostrzegają przed zalewem“ i t. d. Tymczasem obrona kultury może być tylko jedna: przez zdobywczą pracę twórczą. Ta jest możliwa tylko wtenczas, jeśli życie Polaków będzie przejęte ideą misji, jaką ma do wykonania nasz naród. Tylko w atmosferze idei imperialistycznej i nacjonalistycznej Polski może powstać wielka sztuka narodowa.

Tymczasem, jakież to środki zalecają reakcjonisci — zapewne w najlepszej intencji, ale zawsze reakcjonisci — z „Obrony Kultury“? Czytamy w ich programie w ostatnim numerze czasopisma: „Tylko prawdziwe zjednoczenie przywódców naszych stronnictw, zmiana atmosfery wewnętrzno-politycznej... (na innym miejscu jest powiedziane, że ci przywódcy stronnictw mają „wszyscy razem“ ustalić władzę kierowniczą nowego zjednoczenia)... wytwarzanie społeczeństwa mieszczańskiego i niezależnego, może zmienić obecny fatalny stan rzeczy w naszej atmosferze społecznej, szkolnictwie, w uczelniach, w świecie nauczycielskim i wśród młodzieży oraz zapewnić możliwości rozwoju kultury materialnej i twórczości duchowej“.

Nie, „wszyscy“ przywódcy stronnictw nie porozumią się, ani nie stworzą żadnego wspólnego obozu, to już trudno. Byłoby to zresztą już zupełnym upadkiem myśli społecznej w Polsce. A dla kultury nic by i tak z tego dobrego nie wyszło.

Przyczyny obecnego załamywania się życia kulturalnego w Polsce są wynikiem w dużej mierze rozprzeganą się ideologii liberalnej i materialistycznej w całym świecie. Obyśmy jak najszybciej przestali myśleć kategoriami dzie-więtnastowiecznymi, obyśmy jak najprędzej utrwalili zręby kultury narodowej, która nie będzie potrzebowała obrony!

100-lecie DYGASIŃSKIEGO.

Na dzień 7 marca przypadła setna rocznica urodzin wielkiego naszego pisarza — Adolfa Dygasińskiego.

Na innym miejscu drukujemy artykuł doskonałego znawcy twórczości Dygasińskiego, prof. Uniw. Jagiel., Stefana Kołaczковского. Tu chcemy jedynie dodać jeszcze, iż wielką tę rocznicę godnie uświetliło wydawnictwo „Biblioteka Polska“ puszczając w świat pierwsze zbiorowe wydanie tego pisarza, który szczególnie umiłował przyrodę i stał się jej znakomitym malarzem. Wydanie to zadowala zupełnie pod względem zewnętrznym, a ze względu na specjalną służbę, jaką niewątpliwie dzieła Dygasińskiego spełniają w najszerszych kołach, powinno się znaleźć we wszystkich bibliotekach tak miejskich jak i wiejskich.

SPRAWOZDANIA

PIŚMIENNICTWO

Rudolf Niebroj Orłowski: „O ZIEMIO ZAOLZIAŃSKA“ — poezje w prostym słowie. Katowice—Orłowa 1939.

Zaolzie ma swoją passę w naszej literaturze regionalnej. Morcinek wydał na ten temat książkę, Ludwik Kobiela drukuje w „Tempie Dnia“ powieść „zaolziańską“ pt. „Bastion“ i podobno pisze związaną z tym samym tematem sztukę sceniczną, a ostatnio ukazał się właśnie wymieniony powyżej zbiorek wierszy Rudolfa Niebroja. Jak dotąd, powodów do zachwytów nad tymi nowymi zdobyczami literatury śląskiej nie mamy. Wprawdzie jest przysłowie o żelazie, które trzeba kuć na gorąco, ale w literaturze z takiego kucia częściej inne niż artystyczne wychodzą rezultaty. Pomijając poprzednie pozycje, które wymagają jeszcze odczekania lub specjalnego omówienia, stwierdzić trzeba, że zbiorek wierszyków Niebroja nie może być omawiany i oceniany z punktu widzenia wartości literackich. Zresztą sam autor na wstępie w podtytule przed tym się zabezpiecza (zupełnie słusznie), kwalifikując swe utwory, jako „poezje w prostym słowie“. Dlatego też niepotrzebnie Morcinek w słowie wstępnym usiłuje zaliczyć je ze względu na walory „moralne i artystyczne“ do trwałych pozycji w skromnym dorobku literackim Śląska. Dorobek ten jest istotnie skromny, ale mimo wszystko nie tak skromny, by musiał skwapliwie sięgać po tego rodzaju i tej wagi dzieła.

Wiersze Niebroja często nie są nawet poprawne w swym konwencjonalizmie uczuć, nastrojów, opisów i środków poetyckich. Stanowią niezgrabne wypracowania na różne tematy, które są autorowi bliskie, ale których w formie poetycką nie powinien ujmować. Wychodzi to bowiem tak sztucznie, z taką afekcją i tak blade, że pomimo szczerých intencji autora nie potrafi żadną miarą wzruszyć i zainteresować czytelnika. Przyjmijmy, że rzecz obliczona jest na trafienie „pod strzechy“, do ludzi prostych. Ale właśnie te wady raczej by dyskwalifikowały je jako lekturę dla tej kategorii czytelników. Jeśli istotnie „Przednówek“ Pawła Kubisza miał takie powodzenie na Zaolziu, to nie ma mowy, by do tych samych ludzi, którzy czytali tamte, silne, tętniące pasją wiersze, dotarła z równym skutkiem wodnista, pozbawiona polotu, słabo rymowana proza Niebroja.

W konwencjonalizmie, pustym frazesie i kliwym rozmazaniu grzęźnie tu wszystko: i wiersze patriotyczne, i zachwyty nad ziemią śląską i wiersze religijne, i wiejskie roztkliwianie się. Stosunkowo udatnym można by od biedy nazwać niektóre wierszyki dla dzieci.

Te kilka słów trzeba było napisać ze sprawozdawczego obowiązku, by ustrzec czytelników przed braniem zbyt serio końcowych słów przedmowy i podkreślić, że w literaturze śląskiej ta pozycja nie będzie się liczyć.

Morcinek, zdaniem naszym, powinien więcej szanować zaufanie, jakim obdarzają go czytelnicy i oględniej szafować swym „słowem wstępnym“. Po raz drugi po beznadziejnie grafomańskiej „Maryśce ze Śląska“ Wardasówny poleca rzecz zupełnie bezwartościową.

Zdzisław Hierowski.

Włodzimierz Żelechowski: „PRZYGODY PECHOWEGO DONŻUANA“ — ilustracje: Charlie, Mroszczak, Woźniakowski, Warszawa 1939.

Ostatni tomik Włodzimierza Żelechowskiego nie ma zasadniczo wiele wspólnego z regionalną literaturą śląską. Chodzi tu tylko o to, że autor mieszka w Katowicach i ostatnio dosyć często powołuje się na swoje zasługi w śląskim ruchu literackim.

Jeśli poprawne opisywanie rymami pewnych cech charakterystycznych śląskiego krajobrazu, zawarte w tomie: „W cieniu brzoź i kominów“, słabiutkie i jakby na zamówienie robione opowiadania „Majster Ligoń“ i „Opowiadał pan Lompa“ — nie wzmocniły zbytnio pozycji Żelechowskiego w śląskim życiu literackim, to tym bardziej nie może on tego oczekiwać po wydaniu „Przygód pechowego donżuana“.

Przygód tych widocznie niewiele miał autor do opisanie, gdyż starczyło ich tylko na kilka wierszyków, które swym gatunkiem literackim, rodzajem humoru i formą nie budziłyby żadnych wątpliwości w kabarecie lub w piśmie humorystycznym za 10 gorszy. W wydawaniu ich w formie książki trudno dopatrzeć się jakiegś istotnej potrzeby i trzeba to raczej położyć na karb jakichś specjalnych ambicji autora. Ale i on miał w tym wypadku pewne wątpliwości, każąc zamazać kilka drastyczniejszych wierszy, co wykonane zostało z tym skutkiem, że każdy łatwo je przeczyta. Dla porządku warto zaznaczyć, że nawet i w tych pisanych ze szczególnym upodobaniem wierszykach donżuanowych nie wyszedł autor może poza nudny banał. Równie mało dowcipny jest cykl na temat dziesięciu liczb.

Dużo miejsca bez większego powodzenia poświęcił Żelechowski tematowi wiejskim. Z tych wierszy pewnymi poetyckimi zaletami wyróżnia się nieco „Pijacko słoneczna fantazja“. Ale takie utwory, jak „Czary“, „Zemsta“ czy „Przygoda Wodnika“ są już wyjątkowo nudne i banalne.

Od czasu, gdy Włodzimierz Żelechowski zaczął poświęcać swe pióro śląskim tematom i rozwijać działalność w naszym środowisku literackim, nie zaobserwowaliśmy w jego twórczości żadnego postępu, żadnego rozwoju i żadnych nowych zdobyczy. Poezja jego od tego czasu nie wzbogaciła się niczym nowym i on też niczym nowym nie wzbogacił literatury śląskiej. W stosunku do zdradzającego poważniejsze ambicje tomu „W cieniu brzoź i kominów“ zauważyć należy raczej cofnięcie się niż postęp. A z tego, co autor ten ostatnio pisze, jako recenzent i krytyk, wynika, że uważa on, iż nadszedł dla niego czas spoczywania na laurach. Zanim zdążył to jednak uczynić — laury te powiedły już i zdołały zeschnąć.

Zdzisław Hierowski.

TEATR

GŁĘBIA NA ZIMNEJ. Sztuka Jana Ryłskiego w 3-ech aktach w 6-ściu odsłonach. Reżyser Konstanty Tatarkiewicz.

„Głębia na Zimnej“ zaciekawia z wielu powodów. Sama sztuka jest nieprzeciętna, problem interesujący, autor nieznan (ukrywa się pod pseudonimem); poza tym sam rodzaj sztuki, której nie określi się ani nazwą tragedii (choć najwięcej w niej pierwiastków tragicznych), ani nazwą ko-

medii, czy dramatu, budzi ciekawość. Właściwie — jedno zachodzi tutaj w drugie; konwencjonalizm, przejawiający się miejscami, przeplata się z niepospolitością. Rażą czasami niepotrzebne zaskoczenia, które mogły by ostatecznie mniej rzucać się w oczy, gdyby gra aktorów w takich momentach była bardziej umiarkowana. Takie właśnie przeholowani cechowało czasem odtwórczynię roli głównej, p. Kwiatkowską, która poza tym grała bardzo dobrze. To samo trzeba powiedzieć o p. Żukowskim. Bodaj najlepiej spisał się p. Tokarski, który w tym sezonie kreował już wiele ról głównych o b. różnolitym charakterze i zawsze zadowalał. Dobra w epizodach p. Walterówna, aktorka zdolna, którą radzi byłśmy zobaczyć kiedyś w roli prowadzącej. P. Bełkowska (matka) — wpadała czasami w przesadę. P. Kostrzewski — grał poprawnie.

SYN BOŻY. Pięć obrazów z Ewangelii świętej. Reżyserował Wiktor Biegański.

Sztuka Desfontes'a pod względem artystycznym jest słaba. Jest misterium, widowiskiem, (słusznie tak ją nazwano w prospekcie), które z powodzeniem utrzymywało by się długie tygodnie na scenach ludowych. Ale to nie jest sztuka ludowa. Motyw religijny przeprowadzony został zrezygnowanie, w wielu wypadkach podany nadzwyczaj teatralnie jak n. p. ten cud z Łazarzem, przeżywany przez widza z Lią, obserwującą to zmartwychwstanie poprzez ogrodowy mur. Postacie w tej sztuce poza mocno zindywidualizowaną Lią i Łazarzem są typami, podpatrzonymi czasami dość konwencjonalnie. Wydobyć z takich postaci ekspresji, która w tego rodzaju widowiskach jest rzeczą dominującą, było sprawą dość trudną. Trzeba przyznać, że aktorzy starali się wnikać w szersze intencje nieporadnego autora i udawało im się to. Grzębska w roli Lii grała doskonale; jej głos wypowiadał proste słowa autora z nadzwyczajną sugestią. Łazarz, narzeczony Lii, został odtworzony przez Janusza Snaya. Aktor ten jednak nie czuł się w swoim żywiole. Poza tym głos jego, zanadto wybuchowy i wyraźny, w wielu momentach mącił spokojną, nasyconą świętością atmosferę sztuki. Reszta aktorów, których nie ma potrzeby tu wymieniać, grała doskonale; szczególnie dobrze zostały odtworzone „czarne“ typy żydowskie. Źle pojęła swą rolę i źle odegrała Ewa Jarecka, jako Maria z Magdali. Głos Jezusa, nie pokazanego na scenie ani razu, to Wiktor Biegański.

Zastępca.

NOTATKI

NUMER SPECJALNY „PROSTO Z MOSTU“ POŚWIĘCONY ŚLĄSKOWI ZA OLZĄ.

Numer ten zawiera artykuły: Gustawa Morcinka, Pawła Musioła, Pawła Kubisza, Jana Bielatowicza (inicjatora i organizatora numeru) oraz wiersze Pawła Kubisza, Adolfa Fierli i ks. E. Grima. Ponad to wydrukowano opowiadanie Fierli z tomu „Kamień w polu“.

Całość numeru zcharakteryzować należy zasadniczo jako prezentującą się dodatnio. Ale to jest tylko szablonowe stwierdzenie, którym można „ubić“ każdą rzecz drukowaną. Najbardziej charakterystyczną cechą numeru jest jego nastrój, który nie ma nic z oficjalnej obchodowości „ku uczczeniu“. Artykuły zaolziań — Morcinka i Pawła Kubisza dają mu wyjątkowe oblicze. Zwłaszcza artykuł Kubisza, za tytułowany „O waszej pogardzie wobec nas“. Obydwaj au-

torzy, nie bawiąc się w różne radosne stwierdzenia czy okolicznościową deklamację, powiedzieli to, co ich boli w dzisiejszej rzeczywistości Śląska za Olzą. Bardzo dobrze się stało, że takie postawienie sprawy właśnie od nich, najbardziej do tego uprawnionych wyszło. Morcinek dał raczej rzeczy ogólne, poświęcone charakterystyce Ślązaka a mocnych słów użył, przy omawianiu „najazdu szczurów“ na Zaolzie i obchodowości. Paweł Kubisz upomniał się mocno i otwarcie o prawa i miejsce dla literatury i sztuki zaolziańskiej, wskazując na zapominanie o niej i stałe stawianie jej na uboczu wszystkich tak zwanych poczynąń kulturalnych. Jesteśmy przekonani, że ten jego głos „wołam na alarm!!!“ odniesie swój skutek i spotka się z szerokim i dalekim oddźwiękiem.

Bardzo dobry i cenny dla ludzi z innych dzielnic artykuł dał Paweł Musioł („Kraj nad Olzą“). Jan Bielatowicz ujął szkicowo rozwój literatury „cieszyńskiej“, omawiając po krótko najważniejszych jej przedstawicieli. Znać w tym artykule świeżość zainteresowań autora tym tematem, nie mniej znać też sumienną pracę i trud wielu poszukiwań.

Numer zdobią liczne reprodukcje dzieł artystów zaolziańskich: Franciszka Świdra, K. Piegzy, D. Figurnego, Wł. Pasa, Gustawa Fierli oraz Władysława Zakrzewskiego. Dla tego też dotkliwym brakiem numeru jest niepoświęcenie poza wzmianką w art. Kubisza ani jednego artykułu plastykom zaolziańskim.

Zwraca uwagę pewna szczupłość numeru. Numery specjalne są zazwyczaj powiększane. Tu materiału „zaolziańskiego“ wystarczyło tylko na pięć stron.

DWA ODCZYT Y LITERACKIE.

Z inicjatywy Instytutu Śl. przyjechali do Katowic z odczytami: Teodor Parnicki, autor powieści „Aecjusz“ i w tygodniu później, Julian Krzyżanowski, znany historyk literatury.

Parnicki mówił o Ślązakach w polskiej powieści historycznej. Odczyt mógłby należeć do ciekawych, gdyby opracowanie było lepsze. Parnicki mówił dość chaotycznie, streszczał niektóre epizody, porównywał ze sobą te same postacie historyczne w różnych powieściach — od Kraszewskiego do Szczuckiej — nie wyciągnął jednak wniosków konkretnych.

Krzyżanowski mówił o 20-leciu literatury polskiej. Oczywiście tak rozległego tematu nie podobna w czasie określonym wyczerpać. Prelegent z góry to stwierdził.

Zbagatelizował jednak wiele zjawisk i nazwisk poważnych i ważnych, wspominając mniej znaczące — może stronniczo. Niemniej jednak w odczycie Krzyżanowskiego było wiele uwag mądrych i trafnych, choć czasem pewne rzeczy zbytnio upraszczał. Szkoda, że dyskusja po odczycie nie była na poziomie.

A. W.

NOWE KSIĄŻKI LUDWIKA ŁAKOMEGO.

Ludwik Łakomy, wydał ostatnio trzy nowe książki. Wszystkie trzy wyszły nakładem W. I. N. O. w Warszawie. Są to, drugie wydanie „Obrazków z powstań górnośląskich“, „Pastorałka śląska“ oraz „Orle z hetmańskiego gniazda“, bardzo ciekawa powieść osnuta na tle udziału kadetów lwowskich w powstaniu śląskim. Bohaterem tej powieści, nota bene dobrze napisanej, jest Karol Chodkiewicz, zabity w trzecim powstaniu śląskim.

DWUDZIESTOLECIE POWIEŚCI I POEZJI POLSKIEJ.

W ubiegłym miesiącu wyszły dwie publikacje omawiające wyniki powieści i poezji polskiej w ostatnim dwudziestoleciu. Jest więc rzecz Ignacego Fika „Dwadzieścia lat literatury polskiej“, stanowiąca drugą część „Rodowodu społecznego literatury polskiej“, i jest specjalny zeszyt „Okolicy Poetów“ Czernika, stanowiący próbę antologii poezji ostatnich dwudziestu lat i próbę historycznego ujęcia tego okresu poezji polskiej. Obie te publikacje omówimy w przyszłym numerze, zaznaczając już teraz, że praca Czernika ze względu na specjalne aspekta formalne i treściowe jest niezmiernie interesująca i wartościowa.

PEWNE SPROSTOWANIE.

Od p. Igora Demiana otrzymaliśmy następujące sprostowanie, które zamieszczamy z obowiązku dziennikarskiego:

„Na podstawie art. 27 i 28. Dekretu Prasowego Prez. Rzplitej z dnia 21/XI. 1938 r. — wzywam WP. do umieszczenia w najbliższym numerze czasopisma „Fantana“ sprostowania nast. nieprawdziwych informacji notatki pt. „Ej Panie Igorze, wróć na Zaporozie!“.

1) Nieprawdą jest, jakoby p. Brożek — nie pobrał za artykułik o „Zaraniu Śląskiem“ honorarium, natomiast prawdą jest, że p. Brożek za artykułik powyższy zażądał honorarium, i takowe otrzymał, odliczając sobie należność z ceny zakupionych w moim antykwariacie książek.

2) Artykułik o „Zaraniu Śląskiem“ zawierał 129 wierszy druku petitowego, a zatem nie miał charakteru notatki propagandowej, jaką się wysyła do pism. Pozatem w żadnym z pism — artykułik „o Zaraniu Śląskiem“ tej samej treści i objętości nie ukazał się.

3) Wszystkie książki i inne wydawnictwa, jakie otrzymywało „Tempo“ — były omawiane i rejestrowane na łamach pisma. Książki te zachowywałem do swojej dyspozycji i ich nie deprecjonowałem. O ile w moim antykwariacie były sprzedawane jakieś nowości po cenach niższych od katalogowych — to pochodziły one z zakupu u osób trzecich. Działalność antykwariatu polega bowiem na sprzedaży książek po cenach niższych, niż na rynku księgarskim. — Powyższe mógłby stwierdzić mój były personel.

Informacje czasopisma „Fantana“ w notatce „Ej Panie Igorze, wróć na Zaporozie!“ są zatem nieprawdziwe“.

Igor Demian.

Poniżej zamieszczamy oświadczenie p. Ludwika Brożka, w tej samej sprawie:

W związku z powyższym pismem wyjaśniam, iż p. Demian, otrzymawszy z Instytutu Śląskiego obok innych wydawnictw także „Zaranie Śląskie“, prosił mię, bym o „Zaraniu“ tym napisał do jego „Tempa“. Po dość długim **naprzykrzaniu** się z jego strony artykułik taki otrzymał (podpisany przez A. W.), przy czym zaznaczam, iż był to artykułik propagandowy, podający m. i. adres administracji, warunki prenumeraty „Zarania“ i t. p. Szczegóły te, bojąc się widocznie o swoje „Tempo“, p. Demian **skreślił**. Sprawa „honorarium“ za ów artykułik przedstawia się następująco: Już po wydrukowaniu wspomnianego artykułiku wziąłem do przeglądnięcia na parę dni z antykwariatu p. Demiana pewną **skonfiskowaną** książkę, za którą p. Demian (jako za rzecz skonfiskowaną, a więc dlatego żądał 12.— zł). Ja osobiście na książkę tę nie reflektowałem, natomiast przyjaciel mój, p. Sławiczek z Wyr, zobaczywszy ją u mnie postanowił ją sobie kupić. Kwotę 12.— zł przyrzekł przysłać „na przyszłego pierwszego“ i książkę zabrał. Tymczasem p. Demian, nie otrzymawszy na czas ani książki, ani pieniędzy, pokazał swą „rasę“: zachodził, upominając się o pieniądze, urgował pocztą (pocztówki sobie na pamiątkę schowałem) i t. d. Cóż miałem robić? Postanowiłem za przyjaciela zapłacić... Natrętna forma p. Demiana kazała mi jednak przypomnieć mu, że przecież wyświadczyłem mu przysługę, dostarczając artykułik o „Zaraniu“, otrzymywanym przez niego „do recenzji“ z Instytutu Śląskiego. Na to p. Demian postanowił „wspaniałomyślnie“ odliczyć 4.— zł (słowami: cztery złote) z kwoty 12.— zł, niby to jako honorarium za tamten artykułik. Zamiast więc wypłacić żądane jakoby przeze mnie honorarium, co p. Demian uporczywie powtarza, otrzymał jeszcze ode mnie zł 8.— i w ten sposób zlikwidował ze mną sprawę.

Przy sposobności stwierdzam, że zarówno wydawnictwa książkowe, otrzymane z Instytutu Śląskiego (jako „recenzje“ dla „Tempa“), jak również wspomniane wyżej „Zaranie“, stały na półkach w antykwariacie p. Demiana obok innych antykwarycznych książek, **były wystawione na sprzedaż** (nawet za oknem wystawowym) i **istotnie były sprzedawane**. N. p. „Śląsk za Olzą“ Hulki-Laskowskiego opatrzony był karteczką, ogłaszającą, że książka ta kosztuje zł 8.— zamiast zł 12 i t. p. Pieczętkę „Egzemplarz recenzyjny“ starał się z tych egzemplarzy p. Demian usunąć, nie robił tego jednak zbyt dokładnie i w wielu wypadkach napis ten można było odczytać. Tyle, aby było jasno!

Ludwik Brożek.

Adres Redakcji i Administracji; KATOWICE, ul. M. Piłsudskiego 42, Dom Instytutu Śląskiego.

Wydawca: Zespół Literatów i Artystów „Fantana“.

Redagują: **Zdzisław Hierowski, Wilhelm Szewczyk i Jan Kazimierz Zaremba.**

Telefony: red. Hierowski 326-18; red. Szewczyk 353-96; red. Zaremba-Bogunin 61;

Konto P. K. O. 304.069. Prenumerata roczna 5.— zł, półr. 3.— i kwart. 1.50 zł.

Ceny ogłoszeń na żądanie. Redakcja rękopisów nie zwraca. Opłatę pocztową opłacono ryczałtem.

„Drukarnia Narodowa“, Chorzów 1, ul. Krzywa nr 14 — Tel. 406-62.

Zjazd literacki na Zaolziu

W dniach 4 i 5 marca na odzyskanych ziemiach Śląska Cieszyńskiego odbył się zjazd literatów zwolany przez Związek Zawodowy Literatów Polskich, którego prezesem jest Ferdynand Goetel. Forma tego zjazdu i jego założenia zasługują na uznanie i wskazują, że całość była dobrze i mądrze pomyślana. Zarzucono szablon zjazdowy i zamiast toczyć mniej lub więcej nudne obrady, naszpikowane referatami, puszczano uczestników w teren, dając im możliwość zwiedzenia Śląska nad Olzą, zetknięcia się z przedstawicielami społeczeństwa i wystąpienia na porankach i wieczorkach literacko-artystycznych, w których osobisty udział literatów oraz wybitnych recytatorów (Socha, J. Węgrzyn, Wiercińska) był nielada atrakcją. Dlatego zjazd ten powinien przynieść pewne korzyści. Pisarze polscy mieli okazję do bliższego zainteresowania się odzyskanymi ziemiami Śląska. Poznać dokładnie tych ziem nie mogli, bo na to zjazd był za krótki. Ale znaleźli punkt wyjścia do dalszych z nimi kontaktów. Dużą pomocą będą dla nich piękne komplety książek o Śląsku ofiarowane im przez Urząd Wojewódzki. Jeśli chodzi o ludność zaolziańską, to miała ona sposobność zobaczenia wybitniejszych pisarzy polskich i usłyszenia, może w wielu wypadkach po raz pierwszy, najpiękniejszych utworów literatury dawnej i nowej. Ważnym jest i to, że z okazji tego zjazdu nasz świat literacki mógł się zetknąć z przedstawicielami literatury i sztuki na Zaolziu.

Zjazd był liczny. Przybyło blisko stu pisarzy. Ale wybitniejszych było niewielu: Sieroszewski, Goetel, Wierzyński, Irzykowski, Szaniawski, Moreinek, Wołoszynowski, z młodszych: Gałczyński, Piętak, Andrzejewski, Pietrkiewicz, Kubisz. Poza kilkoma jeszcze poważniejszymi i bardziej znanymi przyjechało dużo „drobiazgu literackiego” o mało znanych zasługach i nazwiskach, a większych znacznie pretensjach. Nie wiadomo po co przyplątali się żydzi w rodzaju Prędskich i t. p.

Urząd Wojewódzki i władze miasta Cieszyna zaopiekowali się zjazdem pod każdym względem wzorowo. Wojewoda Dr Grażyński poświęcił mu osobiście dużo uwagi, wykazując tym raz jeszcze swe zrozumienie dla literatury i jej roli. Szanowała natomiast część organizacyjna, pozostawiając w rękach samego Związku Literatów. Programy wieczorków nie zawsze były dobrze zestawione. Na wieczorze inauguracyjnym za trudny był bezprzecznie fragment z Legionu Wyspiańskiego, podany zupełnie bez komentarza. Wątpić należy, czy atrakcją literacką dla Zaolzian były występy n p. Wandy Melcer czy Stelli Olgierd.

Podkreślić należy, że rozgłośnia Polskiego Radia w Katowicach transmitowała przez blisko 2½ godziny pełny program inauguracji zjazdu w Cieszynie, dając możliwość usłyszenia szerszemu audytorium pięknych i na prawdę reprezentacyjnych przemówień wojewody dra Grażyńskiego i Ferdynanda Goetla.

Wydawnictwa nadesłane

Edward Bładowski: *Zieleń i czerwień*. Warszawa 1938 r. Str. 46. Jalu Kurek: *Drzewo Bolesci*. Kraków 1938. Str. 27. Książka niesprzedajna. *Denkschrift: der Lausitzer Sorben zur volkstumspolitischen Lage im Dritten Reiche*. 1936. Str. 46 z jedną mapką. Stefan Flukowski: *Odys u Feaków*. Sztuka w 3-ch aktach. Warszawa 1939. Str. 65. Ignacy Fik: *Dwadzieścia lat literatury polskiej (1918—1938)*. Część druga „Rodowodu”. Kraków 1939. Str. 172. Stanisław Surówka-Brzegowski: *Horyzonty*. Warszawa 1937. Str. 100. Stanisław Surówka-Brzegowski: *Legenda Frasnoliwa*. Warszawa 1939. Str. 59.

Chłopska Wiosna. Warszawa — Flomata, Lwów. Głos Robotniczy, Bielsko-Biała — Gromada Wiejska, Łódź. — Kamena, Chełm Lubelski — Kultura, Poznań — Kuźnica, Katowice. — Łużickosrbsky Viestnik, Praha — Merkuryusz Ordynaryiny, Warszawa. — Myśl Polska, Warszawa — Nasz Wyraz, Kraków — Obrona Kultury, Warszawa — Okolica Poetów, Ostrzeszów — Polityka, Warszawa — Posiew Poetycki, Bydgoszcz — Ruch Słowiański, Lwów — Rycerz Niepokalanej, Niepokalanów — Sprawy Otwarte, Wilno — Świetlica, Katowice — Sygnały, Lwów — Wiadomości Fotograficzne, Poznań — Wymiary, Łódź — Zaczyn, Warszawa Zadruga, Warszawa — Zet, Warszawa — Ziemia Rybnicka, Rybnik — Ziemia i Naród, Lwów.

Errata

Przy odpowiedzi na ankietę p. Wincentego Ogrodzińskiego w ub. numerze „FANTANY” przez pomyłkę napisało: Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamiast: Wizytator, — co niniejszym uprzejmie prostujemy.

Do artykułu Zdzisława Obrzuda z racji książki Fika wkradły się następujące błędy: na stronie I, szósty wiersz na prawo — zamiast: bardzo szczęśliwa nazwa — ma być: niebardzo szczęśliwa nazwa; na stronie 2, czwarty wiersz od dołu na lewo — po słowach: W związku zachodzącym między — opuszczono przez omyłkę słowa: czterema okresami życia, wzrostu i upadku klasy przodującej, — i w ten sposób zmieniono sens zdania.

WYJAŚNIENIE.

Ponieważ dowiadujemy się, iż p. Plaszczek Izidor czuje się pokrzywdzony naszą polemiką z jego artykułami, oceniającymi pierwszy numer „FANTANY”, wyjaśniamy, że nie zamierzaliśmy w niczym urazić go osobiście.

Redakcja.

10

28010

206601

„Drukarnia Narodowa”—wł. Ign. Sikora i S-ka
Chorzów I, ul. Krzywa 14 — Telefon 406-62